

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

wrzesień 2007 r.

Nr 9 (54)



1. Z KART PRZESZŁOŚCI  
– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. ZE WSPOMNIEŃ  
– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z DZIEJÓW KONINA  
– artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA  
– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. NASZYM ZDANIEM  
– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. INSPIRACJE KULTURALNE  
– poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z ŻYCIA TPK  
– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. BARWY CODZIENNOŚCI  
– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



## Drodzy Czytelnicy – koniec wakacji, czas brać się za lekturę „K”.

Pomimo wszystkich „niżów, nie-licznych wyzów, podmuchów i zawirowań”, jesteśmy już we wrześniu, co na pewno najmocniej zestresuje szystkie „zdrowe” dzieci, zaś nieco mniej te, które lubią się uczyć. Ponieważ grozi niektórym pechowcom matura z matematyki, Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) stara się płynnie wprowadzić uczniaków w arkana wiedzy tajemnej pt. arytmetyka. A swoją drogą każde pokolenie boryka się mniej lub bardziej boleśnie z tą królową nauk. Dzieciom, z okazji nowego roku szkolnego dedykujemy wzruszający wiersz Wenedy. Nieco sprawy szkolne łagodzi młodszy Kowalczykiewicz, wspominając nader sympatycznie swoją nauczycielkę – ale Pani Parus nie była matematyczką – co spo-

rawo wyjaśnia. Przedstawia również konińskie małżeństwo – mecenasów Wawelu. Jesteśmy dumni.

Chciałbym, aby nasi mili Czytelnicy zauważyli, że „Koniniana” jako pierwsze, piszą, i to „mową wiązaną” o nowym moście. Polecamy stosowny wiersz Jadwigi Naskręckiej. Piotr Rybczyński definitywnie wyjaśnia sprawę konińskich „rogatek”, które, nota bene, wreszcie sensownie zostały wykorzystane. Przyjaciela „Koninianów”, pana Jerzego Ziębę honorujemy stosownym dyplomem za to, że o każdej porze mogliśmy dzwonić i pytać, właściwie o wszystko, co dotyczyło Konina. Natomiast Szymkowi Pawlickiemu serdecznie gratulujemy otrzymanego w Lubinie krzyża Polonia Restituta – zawsze cieszy, gdy nasi mieszkańcy przynoszą splendor miastu.

Pani Zdzisława Olejniczak w aktualnym odcinku opisuje budowę kościółka oraz martyrologię miesz-

kańców Cukrowni Gosławice.

Janek Sznajder kończy lamentację (jakże słuszną) na temat zaśmiania przyrody. Naukowcy zupełnie serio mówią, że nasza cywilizacja zginie zasypana zwykłymi śmieciami (sic!).

Marysia Cieślak wznawia spacer z wnukiem – tym razem zafundowali sobie plac Wolności – przestrzeń niby mała, ale wiadomości się nazbierało.

Mirkę Dymitrow chcemy pocieszyć, że „koniński konik” – dzięki uporowi Włodka Sypniewskiego i zaangażowaniu prezydenta Tadeusza Tylaka – w chwili czytania tego felietonu stoi już dumnie od kilkunastu dni

na wieży ratuszowej. Chcę również podziękować panu Józefowi Szykowi za gotowość wykonania nowego konika

**Pozdrawiam**  
**Stanisław Sroczyński**

*PS W sierpniu miałem honor uczestniczyć w bardzo wzruszającym spotkaniu urodzinowym. Legendarna już konińska profesorka, pani Klara Tupalska obchodziła 90. rocznicę urodzin. Na spotkaniu było liczne grono przyjaciół oraz byłych uczniów – dominującą cechą spotkania była serdeczność oraz wzruszenie – Jubilatki i gości. (Zachęcam do sięgnięcia po nr 2 (35) z lutego 2006 roku, znajdziecie tam wywiad pt. „Świat wg pani Klary Tupalskiej”).*

zdj. – RAD



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ KONINA  
składa serdeczne wyrazy wdzięczności

PANU JERZEMU ZIĘBIE

za służenie pomocą i udzielanie wyjaśnień dotyczących historii oraz przeróżnych „tajemnic” naszego grodu miesięcznikowi KONINIANA.  
Przekazujemy serdeczne życzenia urodzinowe, licząc na dalszą pomoc i współpracę dla dobra miasta i jego mieszkańców.

Prezes  
Towarzystwa Przyjaciół Konina  
Stanisław Sroczyński

Konin, 9 września 2007 r.

## REGULAMIN XXVII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU POETYCKIEGO O NAGRODĘ „MIŁOWEGO SŁUPA” KONIN 2007

Konkurs organizowany pod patronatem: PREZYDENTA MIASTA KONINA  
organizator: MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W KONINIE  
współorganizatorzy: Urząd Miejski w Koninie, Towarzystwo Przyjaciół Konina

### Zasady:

Konkurs ma charakter otwarty dla osób w wieku powyżej 16 lat.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest przesłanie na adres organizatora zestawu 3 wierszy w trzech egzemplarzach maszynopisu oraz w formie pliku tekstowego (w formacie doc lub rtf) utworów dotąd niepublikowanych i nienagradzanych.

Każdy wiersz należy opatrzyć znakiem identyfikacyjnym (godło) autora, ten sam znak należy umieścić na kopercie zawierającej własnoręcznie podpisaną kartę zgłoszenia (stanowiącą załącznik do regulaminu) z danymi osobowymi oraz zgodę na wykorzystanie prac w publikacjach.

Zestawy niespełniające warunków podanych w punktach 2 i 3 nie będą uwzględniane przez jury.

Nadesłanie prac jest jednocześnie zgodą autora na wykorzystanie ich w formie publikacji reklamowych bądź pokonkursowych – w przypadku nagrodzenia lub wyróżnienia przez jury – bez wypłaty honorarium.

Organizator nie zwraca prac nadesłanych na konkurs.

Prace konkursowe oceniać będzie jury powołane przez organizatora.

Termin nadsyłania prac:

Ostateczny termin nadsyłania prac upływa 21 września 2007 roku.

Prace konkursowe należy nadsyłać na adres: Miejska Biblioteka Publiczna w Koninie, ul. Dworcowa 13, 62-510 Konin z dopiskiem: Miłowy Słup

### SPACER W KIERUNKU NOWEGO MOSTU

*Widać go dobrze z wału nadwarciańskiego  
Rośnie – przeszło po przęśle  
odważny, imponujący, nowoczesny  
tak dziś potrzebny!*

*Technologia nowa  
ale...  
miejsce stare.*

*Okolo dwadzieścia wieków temu  
w tym samym wiosennym słońcu  
i wietrze  
w tym samym zarysie  
krajobrazu doliny warciańskiej  
no, może niedokładnie w tym  
samym miejscu  
ale bardzo, bardzo niewiele  
różniącym się  
przeprawiali się szlakiem bursztynowym  
przez Wartę – kupcy rzymscy  
po jantar nad Bałtyk.*

Jadwiga Naskręcka

**UWAGA: Wyciąg z konkursu jest ostatnim przypomnieniem dla poetów o kończącym się terminie nadsyłania prac**



## Profesor Jadwiga Parus

Dzisiaj, podobnie jak nigdy, po ukończeniu szkoły podstawowej „wypadało”, by uczeń podjął dalszą edukację. Wiązało się to często ze zmianą otoczenia, a i nieraz miejsca zamieszkania. Na skarpie prawego brzegu Warty, u stóp której ścieliła się wieś Kurowo, w 1965 roku oddano do użytku kompleks budynków należących do Zespołu Szkół Górniczych. Właśnie tam od września 1968 roku miałem rozpocząć swoją dalszą naukę. Obiekty, będące oczkiem w głowie dyrekcji Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”, przez cały czas

modernizowano. Dwie sale gimnastyczne, aule, świetlice, stołówki, przestronne korytarze w porównaniu ze „skromnością” wyposażenia mojej stareńkiej „2” przy ulicy Wodnej robiły wrażenie. Pomimo że dalsza nauka miała odbywać się w tym samym mieście, musiałem wtopić się w środowisko nieraz niezbyt przychylnie patrzące na mieszkańców lewobrzeżnej części miasta. Pocieszeniem był jednak fakt, że jednym z dyrektorów Technikum Górniczego będzie starokoninianka, pani Janina Perathoner z domu Wdzięczna.

Po serdecznym przywitaniu przez dyrekcję szkoły, nieco zagubieni, stojąc przed planem zajęć, notowaliśmy: „Maszyny elektryczne” – Tadeusz

Pawlak, „Górnictwo” – Teresa Kwiatkowska, „Matematyka” – Ronald Urbaniak. Przy przedmiotach z języka polskiego oraz historii widniało tak samo brzmiące imię i nazwisko – Jadwiga Parus. Starsi koledzy zapewne tylko przez daleko posuniętą życzliwość komentowali: – Ale wpadliście... Toż to największa kosa w szkole...

Na pierwszej lekcji poznaliśmy naszą nauczycielkę – okazała się nią być bardzo elegancka kobieta, która w sposób konkretny i bardzo rzeczowy przekazała nam spis obowiązujących lektur, przedstawiła również wymagania, jakie będzie przed nami stawiać. Przez kolejne lata poznawaliśmy się wzajemnie. Jeżeli Ona była „kosą” – to my kamieniami rozbija-

jącymi się o ostrze ogromu wiedzy i subtelności, jakie nasza Nauczycielka posiadała. Na którejś z lekcji, widząc nasze sztubackie zachowanie, powiedziała: Panowie... zapiszcie w zeszytach podane przeze mnie znaczenia słów – dodając z sarkazmem – jeżeli nie w dalszej nauce... to może przydadzą się wam chociaż do krzyżówek.

Tuż przed końcem 1998 roku sprawy zawodowe spowodowały, że przebywałam w Zagórowie i właśnie tam miałem zaszczyt spotkać swoją polonistkę. Stojąc przed nią, podobnie jak nigdy przed trzydziestu laty, dukając, zapominając języka w gębie, polykając sylaby, przypominałem jej tamto wydarzenie. Jak zawsze uprzejmie, lecz z dostrzegalnym smutkiem a zarazem nadzieją w głosie skomentowała: To dobrze, że chociaż do krzyżówek...

Nie tylko Pani profesor!!! Dzięki

Pani zrozumiałem, że lektura to nie tylko obowiązek, lecz przede wszystkim przyjemność z jej czytania. Interpretowane przez Panią wiersze spowodowały, że mogłem słyszeć „... ciągnące żurawie, których by nie doścignęły żrenice sokoła...” Spowodowała Pani, że po „Pana Tadeusza” sięgam ot tak, gdy smutna jest dusza – przyznając nie zawsze regularna, umożliwiła mi w dalszym życiu czuć się swobodnie w muzeach, galeriach, wystawach odwiedzanych podczas podróży.

Wstydzę się, że nie potrafiłem przełamać własnej słabości i poprosić Pani, bym już jako wolny słuchacz mógł nadal uczestniczyć w Pani wykładach. Wówczas może barwniej opisałbym, jak wielu podobnych do mnie, tak wiele Pani zawdzięcza.

**Włodzimierz Kowalczykiewicz.**



## Spacer z wnukiem po placu Wolności

Piosenki Ryszarda Rynkowskiego, których słuchaliśmy poprzedniego dnia, wprawiły nas w dobry nastrój. Podśpiewując „Jedzie pociąg z daleka...” wybrałam się z Wojtusiem na spacer wokół placu Wolności. Wojtek przekornie nazwał go „placusiem” Wolności – twierdząc, że szczecińskie place są większe i jest ich zdecydowanie więcej. Żeby mi zaimponować, wyrecytował jednym tchem nazwy kilku z nich: plac Lotnika, plac Odrodzenia, plac Grunwaldzki, plac Orła Białego...

Być może tamte place są większe, ale z konińskim placem Wolności wiążą mnie wspomnienia dotyczące ludzi i zdarzeń. Tu w czasach mojego dzieciństwa i młodości toczyło się życie towarzyskie.

Tu mieszkaly moje koleżanki, z którymi odbywałam długie spacer, toczyłam beztrudne rozmowy, a także z nimi chodziłam do znajdującego się w pobliżu kina. Tędy pędziłam codziennie rano do Szkoły Podstawowej

nr 2 znajdującej się przy ul. Wodnej.

Rozpoczęliśmy spacer wzdłuż ściany wschodniej począwszy od ulicy Krótkiej. Duży budynek Urzędu Miasta zostawiliśmy sobie na „deser”, na koniec naszej wędrowki.

W małym parterowym domku z nr 3, którego dzisiaj już nie ma, znajdującym się najbliżej mojej szkoły, mieszkała Jasia Borowska, która pięknie rysowała sylwetki ludzi. W stojącej obok kamienicy nr 5 mieszkała Zosia Gibowska ze swoją mamą pielęgniarką oraz rodzina Kubiszewskich. Na parterze znajdował się sklep spożywczy i salon fryzjerski p. Szklarkowskiego. W domu pod nr 7, do którego prowadziły symetryczne schody, przez wiele lat działało Pogotowie Ratunkowe, a także mieszkali rodziny Gryniewiczów i Melerów. Kiedyś podobno mieścił się tu Hotel Litewski. Do sklepu z obuwem (jeśli dobrze pamiętam) p. Fryzińskiego, wchodziło się na parterze domu nr 9, natomiast studio fotograficzne p. Jan-kowskiego było obok pod nr 11. Tę stronę placu zamykał niski dom nr 13, w którym znajdował się sklep warzywniczy p. Gilewskich i mieszkała

moja koleżanka Czesia Jateczyńska. W tym domu u modystki p. Nowickiej kupiłam swój pierwszy przepiękny popielaty kapelus.

W południowej ścianie placu pod nr 16 znajduje się Kamienica Zemelki podarowana w 1600 r. konińskim misjonarzom. Była ona później własnością miasta, przez jakiś czas konińskich kupców, następnie siedzibą 4-letniej szkoły handlowej (1863-1938). Obok kamienicy stał parterowy dom handlowy i pracownia czapek p. Walczaka.

Stronę zachodnią placu otwierała „Apteka pod Orłem” (dom nr 14), w której przez wiele lat pracował p. Eryk Rosin. W sąsiednim domu z nr

12 mieszkała moja koleżanka Iśka Richter, dalej pod nr 10 państwo Łacińscy, Gdańscy i pielęgniarka p. Nowicka. W kamienicy nr 8 mieszkała Irka Kordylewska z rodziną, a także rodziny Dmochowskich, Winiarskich i Korzeniowskich. Po produkty spożywcze rodzice wysyłali mnie do sklepu p. Dębowskiego mieszczącego się w budynku nr 6, natomiast w domu nr 4 (dawny Hotel Polski) przez jakiś czas miał swój gabinet lekarski doktor Sztencel.

Spacer zakończyliśmy pod budynkiem Urzędu Miasta. Pobudowano go (jak informuje tablica) dla Starostwa Powiatowego Królestwa Kongresowego. Wojtek zapragnął spenetrować

budynek, w którym podejmowane są ważne decyzje dla Konina. Wędrując schodami i korytarzami odczytywał tabliczki informacyjne wiszące na poszczególnych drzwiach.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się na placu Wolności, Wojtuś z uwagą rozglądał się wokół i zastanawiał głośno, gdzie mógł stać kiedyś dawny drewniany ratusz pobudowany tu w okresie lokalizacji miasta w końcu XIII wieku. Doszedł do wniosku, że chyba tu, gdzie teraz jest pompa. Trzeba oczywiście to sprawdzić w materiałach historycznych, a póki co musimy sobie wyobrazić, gdzie stał i jak mógł wówczas wyglądać. A swoją drogą, pompa na placu Wolności bardzo mu się podobała. Chciałby mieć taką w Szczecinie.

**Maria Cieślak**

## Wawel

Podczas weekendowych czy też urlopowych wypadów, narzekamy na wszechwładną komercję rozpościerającą swoje skrzydła nad zamkami, muzeami spotykanymi na trasie naszej wędrowki. Jednakże w szczególnych przypadkach ma to swój pozytyw, stając się furtką do zdobycia wiadomości, że ho, ho.

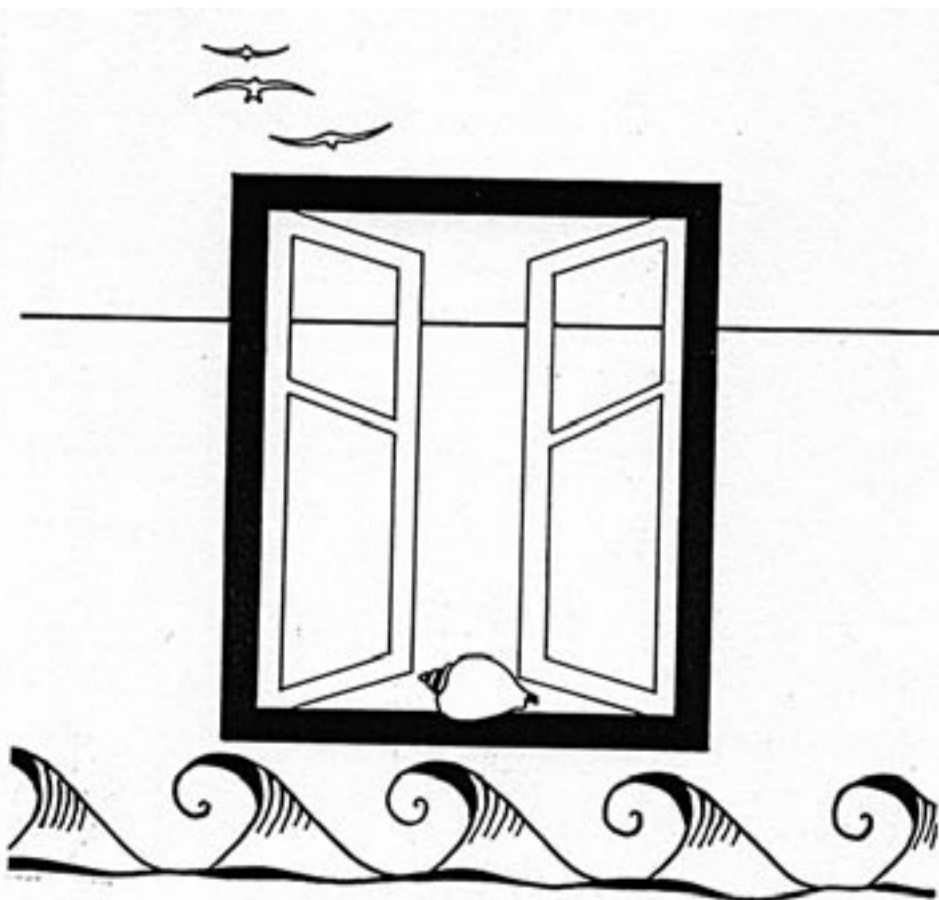
Ilekróć odwiedzam Kraków zawsze staram się wygospodarować choćby chwilę, by „otrzeć” się o mury siedziby królewskiej na Wawelu. Obecnie, z powodów wspomnianych na początku, „plan wycieczki” sprowadzam do zlustrowania otoczonego krągankami zamkowego dziedzińca.

Niedawno, stojąc pośród wieków historii, miałem szczęście poznać kustoszkę opiekującą się Arkadowym Dziedzińcem Królewskim na Wawelu. Ta przeurocza osoba w kilku słowach opowiedziała historię renowacji dziedzińca, akcentując, że takowa mogła się

odbyć tylko dzięki hojności sponsorów. Na koniec „wykładu” zadała pytanie: Czy Pan wie, że również obywatele z Konina wnieśli swój wkład? Widząc moje zdziwienie, wskazała na zapis w księdze. Na liście fundatorów, przypisane do numeru kamienia 151 przeczytałem dane: Mieczysława i Klaudiusz Goszczyńscy – Konin.

Nie potrafiłem ukryć wzruszenia... więc „połały się lzy rzęsiste” Oj, jak teraz będzie cudownie wracać na królewski dziedzińiec pomny, że są koninianie, którzy nie dla własnej chwały, lecz dla potomnych...

**Włodzimierz Kowalczykiewicz**  
PS Jak poinformował mnie Pan Jerzy T. Petrus, wicedyrektor do spraw muzealnych, informacje o renowacji Arkadowego Dziedzińca Królewskiego na Wawelu można uzyskać w czasopiśmie: *Renowacje R.*: 2002 nr 3 (13), po szczegóły zaprasza do wawelskiego Archiwum.



„Otwórzmy okno mierzaniom”

Rys. Dawid Olczak



## Kr—tka lekcja matematyki

Uczniom szkół podstawowych, gimnazjalistom, licealistom i studentom, którzy narzekają na zawziętość nauki i konieczność zdawania egzaminów dedykuję cytaty z książki zatytułowanej: *Arytmetyka*

*Decyzją Jaśnie Wielmożnego Ministra Oświecenia Narodowego przepisana do użytku szkolnego okręgu warszawskiego, i nakładem tegoż okręgu wydana.*

*Część I, na klasę I-szą. Obejmująca: Wykład liczb całkowitych łącznie z podzielnością liczb; wykład liczb wielorakich, poprzedzonych porządkami wiadomościami z ułamków i wykładem miar; tudzież mieszcząca w sobie 720 zagadnień, do teorii w niej wyłożonej, zastosowanych. Warszawa 1858.*

Z tekstu poświęconego liczbom całkowitym dowiadujemy się, że:

*Każda rzecz pod zmysły nasze podpadająca może być jednością np. kreska, palec, ołówek, piórnik, książ-*

*ka, kajet itd. Czerpiemy wiedzę o tym, że dziesięć dziesiątków uważanych jako jedna całość, tworzą jedno sto. W książeczce, po wykładzie o liczbach całkowitych, na stronie 6 są ćwiczenia. Jedno z nich brzmi tak: wyliczyć po kolei nazwiska rozmaitych jednostek, przy rachunku używanych, według pierwszego sposobu, aż do trylionów. Przypuszczam, że dzieci wszystko zrozumiały, więc w te pędy przechodzę do następnego paragrafu, w którym mowa o dodawaniu i odejmowaniu. Najpierw definicja z pierwszej czynności:*

*dodać do siebie dwie lub więcej liczb, jest to znaleźć liczbę, którąby tyle miała jedności, ile wszystkie liczby dane. Wypadek z dodawania nazywa się summa.*

Teraz o odejmowaniu: *odjąć od siebie dwie liczby jest to obliczyć, o ile jedności jedna liczba jest większa lub mniejsza od drugiej. Wypadek z odejmowania nazywa się różnica. Przypominam! Uczymy się arytmetyki z książeczki wydanej w 1858 roku, obowiązującej dla klas pierwszych. Teraz będzie o miarach, bowiem: cho-*

*ciaż każda rzecz może być jednością, są jednak pewne, szczególne jednostki, służące do wyrażenia w liczbach przedmiotów z niemi jednorodnych, nazywane miarami.*

W tym czasie kiedy wydawano książeczkę obowiązywały miary handlowe, geometryczne i tzw. doraźne. Jednostką miar długości w handlu był sążen złożony z trzech arszynów i 48 werszków. Jeden arszyn = 1 łokciowi lub 5 calom, względnie 7 i 3/5 linii (linij). Autorzy przypominali młodzieży, że jednostkami dawnych miar handlowych był łokieć podzielony na dwie stopy, na cztery ćwierci, na 24 cale, na 288 linii i na 576 milimetrów.

Zajmijmy się teraz miarami geometrycznymi. I tak: 840 linie stanowiły 84 cale, te zaś 7 stóp, tworząc 1 sążen. Na jedną stopę składało się 12 cali, 1 cal to 10 linii. Proste – prawda? Odległości między osadami mierzone wiorstami, a każda z nich dzieliła się na 50 sążni. Dawną miarę „drożną” stanowiła mila złożona z dwóch półmili, 4 ćwierci mili, 8 staj, czyli 1 wiorsty. Podkreślano, że wiorsta nowa jest równa wiorście starej. Jak

wiemy, miary również służą do określenia objętości. W podręczniku o tym nie zapomniano. Aby nie zanudzić dzieci natłokiem wiadomości, w skrócie zasygnalizujemy, że do mierzenia produktów sypkich (np. mąki) służył garniec posiadający 289 i 13/53 cale sześciennie i dzielił się na 4 kwarty, każda z nich na 4 kwaterki. Zaś do mierzenia płynów używano wiadra mającego 750 cale sześciennie pojemności. Do wiadra można było wlać 10 krużek, a do jednej krużki 10 czarek. Drrrrrr.....!! Dzwonek – koniec lekcji.

Do domu zadajemy młodym czytelnikom zadanie do rozwiązania:

*Jest czworo dzieci w pewnej rodzinie; najmłodsze ma 7 lat, zaraz po nim następujące ma o 3 lata więcej, trzecie z kolei o 3 lata więcej jak drugie, a czwarte o 2 lata więcej jak trzecie; wiek ojca równa się summie lat wszystkich dzieci, a wiek matki summie lat trojga starszych. Ile lat ma ojciec, a ile matka?*

Za zgodą Jaśnie Wielmożnego Ministra Oświecenia Narodowego kończę lekcję z arytmetyki. Teraz możecie sobie pobiegać.

pleno titulo  
Zygmunt Kowalczykiewicz (major)

### POWIEDZ

*Powiedz, co jest najpiękniejsze?  
Rozkwitające kwiecie jabłoni?  
Nie!  
Światło księżycy w ciemną noc?  
Nie!  
Promyk słońca na jasnych włosach?  
Nie!  
Kropla rosy na rozchylnych ustach?  
Nie!  
Powaga brzemienną kobiety?  
Nie!  
Więc co? Powiedz!  
Powiem: Uśmiech dziecka*

Weneda



## O rogate, która w istocie miejską nie była

Przy ulicy 3 Maja, zwanej przed 1919 r. Długą, a jeszcze wcześniej Groblą lub Nową Groblą, znajduje się cokolwiek dziwna budowla. Przypominający nieco rodzaj kiosku budynek, starsi mieszkańcy nazywają niekiedy rogate. W społecznej tradycji pozostała miejscem, gdzie miano pobierać jeszcze bardziej tajemnicze „kopytkowe”. W tym miejscu zresztą potoczny przekaz zaczyna różnić się wersjami, co do istoty tegoż „kopytkowego”. Raz jest to opłata za wjazd do miasta, innym razem opłata za przywożone do miasta „w celach handlowych” towary. Na dodatek niektórzy pamiętają jeszcze podobną budowlę stojącą do początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku przy ulicy Wojska Polskiego, na wysokości skrzyżowania z ulicą Wiejską.

Jak to z ludową tradycją zazwyczaj bywa, tkwi w niej jakieś żdźbło historycznej prawdy, tyle tylko, że z czasem parę wątków skutecznie się poplątało. Pomijając w tym miejscu otwartą kwestię, czy istniejący obecnie przy ulicy 3 Maja budynek to rzeczywiście dawna rogate, to niewątpliwie mamy do czynienia z miejscem zapisanym przez dziesięciolecia w zbiorowej pamięci koninian. Może zresztą dlatego, że owo miejsce (podobnie jak też dawną „drogę do Czarnkowa”, zwaną później Słupką, a obecnie ul. Wojska Polskiego) przez dziesięciolecia kojarzono z obowiązkiem dokonania jakiejś opłaty, a jak wiadomo konieczność sięgnięcia do sakiewki lub portfela nadmiaru entuzjazmu nie wywołuje i w pamięć zapada.

Samo określenie rogate było zresztą w przeszłości terminem wieloznacznym i w ogólności oznaczało w XIX w. po prostu stały posterunek,

który mógł spełniać bardzo różnorodne funkcje. Współcześnie najczęściej rozumiany jest jako posterunek policyjno-celny na granicach większych miast i u wylotu głównych arterii komunikacyjnych oraz stanowi potoczny synonim granic miasta. Jeżeli rogate na ulicy Wojska Polskiego znajdowała się faktycznie na północnych rubieżach miasta w rozumieniu jego okręgu administracyjnego, to położona przy ulicy 3 Maja w żaden sposób do tego modelu już nie przystaje. Południowa granica Konina przebiegała bowiem znacznie dalej, obejmując część obecnej ulicy Kolskiej i sięgając aż do dóbr majątków: Żychlin i Stare Miasto.

W rzeczywistości bowiem konińskie rogate miejskimi nie były, gdyż nie stanowiły własności miasta i nie miały większego wpływu oraz bezpośredniego związku z dochodami miasta. Były natomiast elementem traktu poznańsko-warszawskiego, który zresztą w obrębie miasta przebiegał łącznie z traktem kalisko-włocławskim. Ten drugi miał znaczenie lokalne i w końcu został zakwalifikowany jako droga gubernialna, ale pierwszy nosił klasyfikację traktu państwowego i jako taki nie podlegał w zakresie jurysdykcji i zarządzania władzom miejskim. Utrzymanie traktu należało

onegdaj do starosty, a w XIX stuleciu do odpowiednich służb rządowych, co w praktyce dotyczyło przede wszystkim mostów. Tych zaś na przeprawie przez dolinę Warty pierwotnie nie brakowało i jeszcze w końcu XVIII



zob. – Sponiewski

stulecia łącznie mostów i mostków było ponad dziesięć. Z czasem wiele z nich zanikło, gdyż część mokradel zasypano i zastąpiono nasypem, ale do XX w. pozostały trzy mosty w ówczesnych granicach administracyjnych miasta.

Najważniejszy, czyli most na samej rzece oraz dwa mosty na południe od dawnej bramy kaliskiej, przy ulicy Długiej. Pierwszy na odnodze rzeki, mniej więcej na wysokości obecnego skrzyżowania ulic: Szarych Szeregów i 3 Maja i drugi, mniejszy, na wysokości skrzyżowania z obecną ulicą Żwirki i Wigury. Mosty te nie stanowiły majątku miasta, co miało tę zaletę,

że ich utrzymanie nie obciążało jego budżetu, ale także nie przynosiły żadnych dochodów dla kasy miejskiej. Korzyści czerpał natomiast bezpośrednio Skarb Państwa, gdyż przejazd traktami i znajdującymi się na nich ważniejszymi mostami był płatny.

Zasady poboru opłat były zresztą cokolwiek skomplikowane, gdyż od świadczeń zwolniony był w znacznej mierze ruch lokalny. Co oznacza, że bynajmniej nie za każdym razem konińscy mieszkańcy musieli sięgać do sakiewki, jeżeli chcieli przejechać przez mosty. Taryfa opłat uwzględniała m.in. rodzaj pojazdu i liczebność zaprzęgu (stąd zresztą owo potoczne określenie „kopytkowe”). Opłaty egzekwowali i mostów całą dobę pilnowali specjaliści warty drogowej, co z kolei wymagało wzniesienia stałych budynków zwanych czasami także rogatekami. Ze względu na newralgiczne usytuowanie i znaczenie mostów na rogatekach mostowych nader często przeprowadzano również kontrole policyjne, celne i skarbowe, a nawet z czasem sanitarne. Stąd też ciągle kręciły się przy nich już do patroli wojskowe, żandarmerii, straży ziemskiej i inni urzędnicy. Także dzierżawcy podatków miejskich, takich jak „garncowe” vel „wiadrowe” (od propinacji miejskiej) i tzw. „jarmarczne”, które jak się wydaje dało asumpt do połączenia sprawy rogatek z opłatą od towarów przywożonych do miasta.

W rzeczywistości sprawa jest jednak dużo bardziej skomplikowana. Przywilej poboru „jarmarcznego” miasta posiadało od czasów średnio-

wiecza, ale w realiach nowożytnych nie dotyczył on w istocie opłaty za wwożone do miasta towary, ale za wystawienie ich na sprzedaż w czasie jarmarków. Podstawą wymiaru wysokości opłaty była nie tyle wartość towaru, co wielkość stoiska handlowego, a w przypadku zwierząt hodowlanych ich rodzaj. Tak więc najwięcej płacono się od „budy wielkiej”, mniej od „budy średniej”, jeszcze mniej od „stołu”, podobnie jak od furmanki z różnymi towarami rolnymi. Jeżeli chodzi o zwierzęta, to oczywiście najwyższa opłata dotyczyła koni, wołów i krów.

Jarmarczne przynosiło stały dochód kasie miejskiej i urzędowo ustalano taryfę opłat, ale bynajmniej władze municypalne nie zaprzętały sobie głowy jego poborem. Zgodnie z zasadami dawnej skarbowości wydzierżawiano je (z reguły na trzy lata) w drodze publicznej licytacji prywatnemu przedsiębiorcy za stałą roczną opłatę. Tym sposobem to dzierżawca organizował pobór i ponosił finansowe ryzyko przedsięwzięcia. Był więc żywotnie zainteresowany w skuteczności ściągania należności. Niewątpliwie w strategii działania dzierżawcy i zatrudnionych przez niego pomocników kontrola przed mostami miała spore znaczenie, ale liczyła się przede wszystkim skuteczność poboru na rynkach. Zwłaszcza, że część obrotów handlowych w czasie jarmarków odbywała się poza obszarem miasta położonym w obrębie rogatek mostowych. Jeszcze długo w XIX w. tzw. „targ koński” (w rzeczywistości także handlowano tutaj także wołami i krowami) odbywał się na przedmieściu św. Ducha, a następnie został przeniesiony na podmiejskie błonia, położone na zachód od zwartej zabudowy miejskiej. Targowica przy ulicy Wodnej powstała znacznie później i stanowi już zupełnie odrębny temat.

Piotr Rybczyński



## REDBULL doda Ci skrzydeł

Wydał się, że kościół, posiadając niekwestionowany autorytet, mógłby skutecznie przeciwdziałać narastającej tendencji dewastacji przyrody. Cóż, jak dotąd, jedynie ks. Twardowski kłaniał się drzewom i trawie. Smutne, że do niewielu trafiała ta poezja.

U podnóża Gór Świętokrzyskich, na kamiennym łątku, widnieje napis, który jest cytatem z jakiegoś tam niemodnego Żeromskiego – „Puszczą jest niczyja – nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta”. Wielkie słowa, ale w górach, na turystycznym

szlaku jeszcze większe śmietnisko. To nie zabytki architektury, mizerne w porównaniu z krajami Zachodu, ściągają zagranicznych turystów, to lasy i jeziora, nieobarczone jak na Zachodzie zakazem wstępu z tabliczkami „Teren prywatny”. To nasza przyroda, nieskalana jeszcze piętnem fałszywej cywilizacji.

Włączam telewizor, w reklamowej kreskówce facet wypija puszkę napoju, wyrzuca opakowanie za siebie, po czym unosi się w górę, a z telewizora płynie radosny głos – „Redbull doda ci skrzydeł”. Pytanie: po wypiciu rewelacyjnego płynu czy po pozbyciu się niepotrzebnego opakowania? Piją zatem telewizzowie reklamowane

płyny i wyrzucają opakowania, bo tak ich uczy wszechwładna P.T. Telewizja.

Wychowałem się w poczuciu ładu. Z dzieciństwa pamiętam przykazanie mego Ojca – „Porządek świata zaczyna się od czystej chusteczki do nosa”. Przyczyna rodzi skutek, który jest następną przyczyną. I rację miał anonimowy proboszcz z małego, wiejskiego kościółka – śmietniska, które czynimy wokół siebie, rodzą się także w nas samych. A skrzydła zwinęte w nas, o których śpiewała Piwnica pod Baranami, żaden Redbull nie potrafi rozwinąć, jeśli nie dokonamy tego sami.

Jan Sznajder



## Małe ojczyzny – budujemy kościół część 3

Pracownicy cukrowni oprócz ciągłej modernizacji swojego zakładu, zadbali również o wygląd osady. Na miejscu przydrożnego drewnianego krzyża, który został ścięty przez Niemców, postawiono kapliczkę Serca Jezusowego. Jedną z tablic na cokole głosi „Ufajcie, jam zwyciężył świat” – i ufamy. Naszą wizytówką może również być nowo wybudowany kościół, wzniesiony siłami cukrowników i mieszkańców okolicznych wiosek. Kościół pobudowany jest na ziemi łążyńskiej, podarowanej przez hrabinę Kwilecką w 1937 roku. Hrabina Maria Jadwiga Kwilecka z Malińca nadała akt własności na ziemię ze swoich dóbr rodowych w Łężynie z przeznaczeniem dla parafii Cukrownia Gosławice. Hrabina była osobą bardzo pobożną, miała wrażliwe serce dla ludu. Zupełnie innym człowiekiem był jej małżonek. Wsławił się szczuciem psa na okolicznych biedaków – opowiadała o tym fakcie, mieszkanka

Malińca pani Helena Juzala. W 1990 roku odbyła się konsekracja nowego, większego kościoła, zbudowanego obok starego przy osadzie Cukrowni Gosławice – dziś włączonej w obszar miasta Konina. Przy budowie i tym razem odnaleźli się nasi pracownicy cukrowni. Nadzór nad wykonaniem konstrukcji stalowej objęli emeryci inż. Jan Szadkowski oraz Jan Juzala. Ten ostatni z niebywałą zręcznością i odwagą wspinał się na górne partie konstrukcji, chcąc wszystkiego dopilnować osobiście. Chyba przeczuwał, że jest to jego ostatni zryw budowlany – musiał już coraz częściej odpoczywać w trakcie pracy. Niestety nieubłagana choroba zmusiła go do wyłączenia się z aktywnej działalności. Wsparty na ramieniu przyjaciela przyszedł z trudem, aby obejrzeć swoje dzieło, stalową konstrukcję dachu. Następne etapy budowy podjęli ofiarni murarze, stolarze, elektrycy, malarze i cała armia chętnych parafian. Dołączyli do nas

pracownicy kopalni, huty, elektrowni i rolnicy z pobliskich wiosek. Pracowali przykładowo ojcowie z synami, młodzież nawet dzieci. Z ofiarami pospieszyli nasi parafianie zza granicy. Byli ministrant Antoni Załęcki i Alfreda Wysoka – ofiarodawczyni pięknej figurki Matki Boskiej z Fatimy. My – parafianie nie szczędziliśmy ofiar finansowych i siły roboczej, zaś ksiądz Bogusław Paleniecki okazał się dobrym psychologiem, nie prosił o pieniądze, ale nie szczędził podziękowań staropolskim zwyczajem „Bóg zapłać”. Może cicha nutka zwycięstwa bogobojnej hrabiny Kwileckiej, aby powstał kościół na jej byłych dobrach łążyńskich pomogła księdzu pokonać wszystkie przeciwności tamtych czasów. Załoga cukrowni nie zapomiała również o swoich kolegach – bohaterach – poległych w czasie okupacji i postawiła na początku 1945 roku pomnik z nazwiskami wszystkich poległych. W szeregu nazwisk mamy trzech pole-

głych braci Błażejewskich. Najmłodszego Stanisława znałam osobiście – był inspiratorem naszych dziecięcych zabaw. Nikt nie przypuszczał, że ten tak młody chłopiec zginie z dorosłymi w 1942 r. we Wronkach. Jego bracia zginęli w Mauthausen – Gusen. Inny z umieszczonych na pomnikowej tablicy – Stanisław Kurowski, został bestialsko zamordowany saperkami przez młodych zwyrodnialców z Hitlerjungend. Kolejny z poległych – Bronisław Gertig miał szansę na uratowanie z powodu niemieckiego nazwiska, nie skorzystał z tego – czuł się po prostu Polakiem. Zginął w 1940 r. w Mauthausen. Jako siedmiolatka po raz pierwszy zobaczyłam jego urnę z prochami, bardzo się bałam, ojciec musiał wziąć mnie na ręce. Elektryk Jan Śliwiński został zamordowany w obozie koncentracyjnym w Inowrocławiu w 1942 r. Inżynier Tadeusz Swinarski – dyrektor cukrowni do 1939 r. został rozstrzelany w czasie powstania

warszawskiego w 1944 r.

Po 54 latach, na prośbę Jana Sidora – syna Władysława Sidora, który zginął w dniu wyzwolenia Konina w wieku 33 lat osierocając czworo dzieci, dopisano na pomniku ostatnią ofiarę. Do dziś nie wiadomo dokładnie, czy bombardował prowadzony przez niego parowóz samolot niemiecki czy radziecki. Byłam świadkiem tej tragedii, do dziś nie mogę zapomnieć widoku słupa pary z rozerwanego bombą i pociskami kotła parowozu, w którym na rękach pomocnika Edwarda Wojtysiaka konał Władysław Sikor.

Niezbadanymi drogami losu, po kilkunastu latach, jako nauczycielka w naszej szkole pojawiła się córka Władysława Irena Sikor. Pracowała od 1966 roku do 1977 – do dzisiaj z wielkim sentymentem wspomina swoich uczniów: Ewunię Kos, Agnieszkę Cholewicz, Sławka Lechtańskiego, Kubę Szkudlarkę, Arka Zakrętę i wielu innych. To prawdziwy szczęśliwy koniec pewnej historii. (cdn.)

Zdzisława Kurzawa-Olejniczak

## Podróże kształcą (?)

Jestem przekonany, że rodzinne miasto niezależnie od miejsca, w którym aktualnie przebywamy nosimy bardzo głęboko w sercu. Odwiedzając nawet najodleglejsze zakątki świata, cieszymy się, że gród nad Wartą postrzegany jest w samych superlatywach. Obecnie podczas krajowych czy też zagranicznych podróży mało prawdopodobny jest przypadek, z końca lat sześćdziesiątych. Wówczas, na prośbę o bilet do Konina, kasjerka z poznańskiego dworca autobusowego zapytała mnie: „Ale, do którego, tego koło Żagania, czy tego nad Wartą. Pełen urażonej młodzieńczej dumy odpowiedziałem: Oczywiście, że do tego nad Wartą. Obecnie korzystając z linii autobusowych, kolejowych Londynu, Frankfurtu nad Menem, Deventer, jesteśmy pewni, że wstępując na komputerowej klawiaturze słowa KONIN otrzymamy bilet uprawniający przejazd do miasta mającego w herbie konia. Ekspansja konińskich firm produkcyjnych, turystycznych, migracja ludności, powoduje, że w globalnej wiosce, jaką jest

świat, Konin staje się miastem rozpoznawalnym. Oprócz wiadomości geopolitycznych na temat naszego miasta spotkamy także inne. Przeglądając łamy gazety wychodzącej na terenie Detroit dowiemy się, że jako Employment Public Contracts/Construction Business, pracuje tam Edmund M. Konin, a problemami związanymi z kontuzjami dzieci w sporcie na terenie Medison Uniwersytet zajmuje się Dr. Jeff Konin. Tych dwóch panów, do tej pory kompletnie nie wiedzących o swoim istnieniu łączy jednak wspólna historia. Jest nią migracja ich pradziadków przed laty z Konina.

Podczas podróży, związków z naszym miastem spotkamy wiele. Zachęcając do poszukiwań, mam dla Czytelników miesięcznika Koniniana zagadkę: Podczas bytności w Holandii spotkamy się z wyrazami Koninkrijksrelaties, Koninklijke. Czy przedrostek Konin w wyrazach ma związek z naszym grodem, czy jest tylko bliski językowi holenderskiemu?

Włodzimierz Kowalczykiewicz



## Moje trzy grosze o koniku z ratuszowej wieży...

Galeria wg Słownika terminologicznego Sztuk Pięknych to... *podłużne pomieszczenie w formie empory, ganiku, loggii, a także ... większa kolekcja dzieł sztuki, zwłaszcza malarstwa i rzeźby...*

Słowo galeria okazuje się bardzo pojemne – zainteresowanych definicją odsyłam do tegoż słownika.

W Koninie, rzecz można, galerii dostatek: Galeria Wieża Ciśnień, Galeria przy Centrum Kultury i Sztuki, Domach Kultury, Miejskiej Bibliotece, kilka prywatnych galerii – nie sposób wszystkie wymienić, a i co rusz jakaś instytucja organizuje wystawy.

Moja Galeria działa od dziesięciu lat i ma niemałe grono bywalców, a wernisaże to nie tylko okazja do spotkania z artystą i jego dziełami, również z przyjaciółmi i znajomymi.

Wśród gości przedstawiciele róż-

nych zawodów, a bywa czasami, jak przy okazji wystawy Henryka Walczyńskiego i jego córki, że można było mówić wręcz o zlocie konińskich artystów: oprócz oczywiście autorki wystawy, znakomita malarka pani Teodozja Matysiak, niezwykle barwna postać pana Józefa Szyka, akwarelista pan Bielecki, autorzy książek i wierszy.

To tylko kilka osób na spotkaniu w galerii, ale artystów zajmujących się zawodowo malarstwem i rzeźbą, a także tych, dla których malowanie jest pasją obok zawodu np. lekarza czy księgowej jest wielu. Konin artystami stoi?

W czasie wernisażu, krążąc między gośćmi, nasłuchiwałam, co w trawie piszczy (nie mylić z podsłuchiowaniem), a zastanawiano się, między innymi, gdzie i kiedy zniknął konik z ratuszowej wieży. Temat pojawił się już swego czasu na łamach „Koninianów”.

W domu, gdy z rodziną dzieliliśmy się wrażeniami z zakończonego wieczoru, pomyślałam sobie, że to oczywiście, co stało się z konikiem – na widok tyłu galerii i tyłu artystów dostał skrzydeł i zamienił się w pęga. Może poleciał odwiedzić swego kolegę z poznańskiej opery? Zapewne wróci, być może ładniejszy...

Mirosława Dimitrow

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

**KONINIANA**  
 www.koniniana.netstrefa.com.pl  
 zdy: Images Copyright©2000 DigiTouch zdjęcia portretowe: RAD

**ADRES REDAKCJI:**  
 62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
 tel. 063 243 77 00, 243 77 03  
 Redaguje zespół  
 Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
 ISSN 0138-0893